

# A

STEFAN SZCZEPLEK

# W

# E

# D



PRO

MANIA

PROSTE I BKO

Graffiti na ścianie domu przy ulicy Lubirowskiej,  
według koncepcji Suzan Giżyńskiej i Piotra Mateckiego.  
Projekt i wykonanie smokyokmok@wp.pl



1

---

# Starogard



W tym mieście w roku 1947 przyszedł na świat Kazimierz Deyna. Trzy lata później do nazwy dodano przymiotnik „Gdański”. Jest stolicą regionu o nazwie Kociewie. Od Gdańska dzieli go prawie pięćdziesiąt kilometrów. Do Kościerzyny jest niecałe trzydzieści. Szeroką szosą na wschód jedzie się do Tczewa i – już za Wisłą – do Malborka. Również niecałą godzinę. W pobliżu, na południowy zachód od miasta, rozciągają się Bory Tucholskie. W przeciwnym kierunku jeszcze bliżej znajduje się Pelplin ze wspaniałą gotycką katedrą i Biblią Gutenberga, a nieco w bok krzyżacki zamek w Gniewie. Od roku 2011 niedaleko Starogardu Gdańskiego przechodzi autostrada A1, prowadząca do Gdańska. Wszędzie wokół lasy i jeziora. Przez Starogard przepływa Wierzyca, która kilkanaście kilometrów dalej, pod Gniewem, wpada do Wisły.

Franciszek Deyna, ojciec Kazika (urodzony 28 października 1911 roku, zmarł 18 lutego 1976 roku), pochodził ze wsi Osiek, leżącej w Borach Tucholskich. Do oddalonego o dwadzieścia pięć kilometrów Starogardu przeprowadził się po wojnie. Mieszkańców Osieka nazywano tu żartobliwie uklejkarzami.

Matka, Jadwiga z domu Sprengel (urodzona 29 kwietnia 1917 roku, zmarła 6 marca 1981 roku), mieszkała w małej osadzie noszącej nazwę Freda, tuż pod miastem.



Stało tam wszystkiego z pięć domów. Dawno zostały wchłonięte przez rozbudowujący się Starogard. Rodzina matki mieszkała tam z dziada pradziada.

Brzmienie rodowe nazwiska świadczy o związkach i zmianach, jakie zachodziły przez wieki na tych terenach. Przodkowie ojca przybyli do Osieka prawdopodobnie z Litwy i może dlatego w środku nazwiska znajduje się igrek. Na Litwie spotyka się nazwisko Deynas lub Deinas.

Deynowie mieli dziesięcioro dzieci; dziewięcioro własnych i jedno adoptowane. Pierwszych troje urodziło się jeszcze w Osieku: Irena (1939), Henryk (1940) i Franciszek (1942). Wanda (1943) była

**Określenie: „w domu się nie przelewało”, jest aż nazbyt oczywiste**

córką siostry ojca, po śmierci rodziców w czasie wojny przyjętą do rodziny. A po wojnie przyszli na świat jeszcze: Teresa (1946), Kazimierz (1947), Elżbieta (1949), Maria (1956), Jadwiga (1958) i Barbara (1960). Razem było ich trzech chłopców i siedem dziewcząt.

Przy tak liczny potomstwie matka zajmowała się tylko domem. Pracował ojciec i używane w takich sytuacjach określenie: „w domu się nie przelewało”, jest aż nazbyt oczywiste. Ojciec cieszył się miłością dzieci i powszechnym szacunkiem w mieście. Moż-

RZECZPOSPOLITA POLSKA  
Województwo Pomorskie  
Urząd Stanu Cywilnego w Starogardzie Gdąskim

**ODPIS SKRÓCONY AKTU URODZENIA**

1. Nazwisko Deyna  
2. Imię (imiona) Kazimierz  
3. Data urodzenia dwudziestego trzeciego października (23.10.1947) roku  
4. Miejsce urodzenia Starogard Gdąski  
5. Imię (imiona) i nazwisko rodowe Franciszek Deyna (ojciec)  
6. Imię (imiona) i nazwisko rodowe Jadwiga Sprengel (matka)

Poswiadcza się zgodność powyższego odpisu z treścią aktu urodzenia Nr 3707

Zwolniono od opłaty skarbowej na podstawie art. 3 pkt. 2 z dnia 09.09.2000 r. o opłacie skarbowej (Dz. U. z 05.07.2000)

Starogard Gdąski, dnia 18.09.2001

KIEROWNICZKA  
KIEROWNICZKA  
Urzędu Stanu Cywilnego  
Agnieszka Knapka

MK PTH „Technika”, Gbwece

Odpis metryki Kazimierza Deyny  
wykonany w roku 2001



na to było usłyszeć jeszcze w latach pięćdziesiątych i to nie tylko z ust synów czy córek. Pan Franciszek Deyna pracował w mleczarni (w gwarze kociewskiej – mlekarzni), a słynął z wytwarzania znakomitych serów. Niestety, lata spędzone w chłdzie i wilgoci tego zakładu nie pozostały obojętne dla zdrowia. Nabawił się reumatyzmu, przez długi czas w chodzeniu pomagała mu laska.

Sportem prawie w ogóle się nie interesował. Kiedyś, podczas służby wojskowej, wszedł na ring bokserski. Raz w Starogardzie wystartował w biegu przełajowym, w którym wyprzedził go tylko jeden konkurent. Jakoś nie zachęciło go to jednak do następnych prób. W piłkę w ogóle nie grał, ba, nie chodził nawet na mecze! Dopiero kiedy Kazik wyjechał z miasta, zaczęły o nim pisać gazety i pokazywała go telewizja, pan Franciszek



Stadion 1000-lecia na pocztówce z lat sześćdziesiątych (na dole) i ten sam stadion wiosną roku 2011, kiedy trwały na nim prace budowlane. Nosił już wtedy imię Kazimierza Deyny. Z lewej wieża kościoła św. Katarzyny



Tamten Starogard, tamte czasy i radio  
odpowiednie do słuchania Wolnej Europy

włączał radio Pionier z magicznym oczkiem, służące mu głównie do słuchania Wolnej Europy, i chłonał wieści o synu opowiadane przez redaktora Jana Ciszewskiego. Mimo ogromnej dumy nie okazywał uczuć i wzruszeń.

Ojciec Kazika lubił dużo rozmawiać z ludźmi, zwłaszcza kiedy jego popularność i pozycja w mieście rosły wraz z sukcesami syna, ale robił to w taki sposób, żeby nikt nie mógł powiedzieć, że „stary Deyna zwariował na punkcie dziecka”. I nikt tak nie mówił. Tym bardziej że pan Franciszek nie pił alkoholu. Zmarł nagle, na serce, zimą 1976 roku. Miał tylko sześćdziesiąt pięć lat. Kazik, który przyjechał na pogrzeb z Warszawy, płakał jak wszyscy. Ojciec był najważniejszą osobą w rodzinie i nawet kiedy bił, winowajca wiedział, że tata ma rację.

Matka godziła się na ten patriariat, bo i u niej w domu ojciec był najważniejszy. Tradycyjny podział ról został więc utrzymany. Mąż dbał o domowe finanse, a żona zajmowała się dziećmi. W ich opinii mama była osobą spokojną i małomówną. Pod tym względem synowie, Henryk, Franciszek i Kazimierz, wrodzili się w nią. Córki zaś, którym usta nigdy się nie zamykały, przejęły tę cechę od ojca.



Jeden ze starogardzkich adresów Kazika: Lubichowska 86

Najczarniejszy moment rodzina przeżyła w roku 1978. Trwały mistrzostwa w Argentynie. Kazik rozgrywał setny mecz w reprezentacji Polski, więc wszyscy zebrali się przed telewizorem Szmaragd, w mieszkaniu Franka przy ulicy Wybickiego. Kiedy Kazik miał wykonywać karnego, mama powiedziała: „Nie strzeli, ja wam mówię, że nie strzeli”. Wszyscy tak mu życzyli powodzenia, że nikt nawet nie zdążył krzyknąć „Co mama plecie!”.

—  —

**Najczarniejszy moment  
rodzina przeżyła  
w roku 1978**

—  —

tym razem mu się nie uda. Czekali na to i przewidzieli. Kiedy bramkarz Fillol złapał piłkę, w mieszkaniu zaległa cisza. Matka powiedziała: „Mój Boże, co oni mu teraz zrobią?”.

Pani Jadwiga zmarła w marcu 1981 roku. Pochowana została obok męża, przy jednej z głównych alei starogardzkiego cmentarza. Kazik na pogrzeb nie przyjechał. Mieszkał już wtedy w Ameryce. Groby są zawsze czyste, na pomnikach stoją kwiaty. Dbają o to dzieci i wnuki. Czasami lampkę zapali jakiś kibic Legii, przejeżdżający przez Starogard.



Drużyna juniorów Włókniarza z okresu, w którym niewiele od Deyny starszy Włodzimierz Lubański debiutował w reprezentacji Polski (1963). Kazimierz pierwszy z lewej, już jako kapitan

Dawniej w Starogardzie Gdańskim działały trzy kluby: Włókniarz, Starogardzki Klub Sportowy i Unia. Kiedy zbliżał się dzień „derbów”, całe miasto stawalo na nogi. Tu zawsze była przychylność dla sportu. Tutaj wychowało się wielu sportowców, którzy później przynosili miastu zaszczyt. Brązowy medalista olimpijski z Rzymu (1960) w boksie Brunon Bendig, skoczek w dal Kazimierz Kropidłowski, miotaczka Danuta Rosani, a w latach osiemdziesiątych lekkoatleta Dariusz Zielke, przede wszystkim zaś tenisista stołowy Andrzej Grubba. Pod koniec lat siedemdziesiątych we Włókniarzu zaczynał karierę Jarosław Kotas, który wprawdzie nie zapadł w pamięć jako wybitny piłkarz, ale bronił barw m.in. Zawiszy Bydgoszcz, Bałtyku Gdynia i Schalke 04. W niedalekim Szpęgawsku urodził się Bogdan Wenta, znakomity piłkarz ręczny, a jeszcze lepszy trener reprezentacji Polski w tej dyscyplinie.



Ta tablica znajduje się przy bramie głównej, prowadzącej na starogardzki stadion





Stadion miejski, otwarty w roku 1961, noszący imię 1000-lecia Państwa Polskiego, w roku 1994 decyzją Rady Miejskiej Starogardu Gdańskiego otrzymał drugie – Kazimierza Deyny. Tablicę umieszczono na wielkim głazie przy stadionowej bramie. Uliczce prowadzącej od Kanałowej do stadionu nadano nazwę Olimpijczyków Starogardzkich. Rok po śmierci Andrzeja Grubby (2005) jego imieniem nazwano halę sportową, która ma widownię na trzy tysiące miejsc. Rozgrywają tam swoje mecze koszykarze Polpharmy. Hala sąsiaduje ze stadionem. W widocznym miejscu, naprzeciw wejścia znajduje się portret Andrzeja Grubby. Po jego prawej stronie, poniżej umieszczono mniejsze zdjęcia najwybitniejszych starogardzkich sportowców, a po lewej – trenerów. Pierwszy poczet otwiera Deyna, w drugim jest jego nauczyciel Henryk Piotrowski.

Henryk Deyna, najstarszy brat Kazimierza, grał we Włókniarzu, ale nigdy nie wystąpili wspólnie. Siedem lat różnicy to dużo, tym bardziej że Henryk dość wcześnie zakończył karierę. Jak zresztą sam mówi, nie miał talentu, natomiast z przyjemnością patrzył



**Pan Bóg obdarzył go  
większym talentem niż  
brata, tyle że on nie  
odwdziczył się  
Opatrzności pracą**



na brata, który bez piłki nie mógł żyć. Zabierał więc Kazika na treningi i mecze. W takich sytuacjach Kazio stawał za bramką, żeby podawać piłkę bratu i jego partnerom. Nie miał wtedy dziesięciu lat.

Franciszek grał w Starogardzkim KS w pomocy lub jako stoper. Ponieważ jest człowiekiem dowcipnym – mówi niedużo, a jeśli już, są to celne puenty – uważa, że Pan Bóg obdarzył go większym talentem niż brata, tyle że on nie odwdziczył się Opatrzności pracą. Wolał inne rozrywki, które niekoniecznie szły w parze ze sportem. Przez wiele lat cieszył się opinią dobrego krawca, specjalisty od męskich spodni. Klienci przyjeżdżali do niego nawet z Gdańska i Warszawy.

Franciszek nie był zawodnikiem Włókniarza, więc nie mógł grać z Kazikiem w jednej drużynie. Zdarzyło się jednak raz, że wystąpili przeciw sobie. Franek kończył już wtedy powoli swą karierę, a Kazik stał na jej progu. Kiedyś przyjechała do Starogardu reprezentacja juniorów Gdańskiego OZPN, by rozegrać sparing z SKS. Franciszek Deyna był w nim obrońcą, a z drugiej strony atakował go Kazimierz. Wyszli na remis.



To był ostatni etap pobytu późniejszego mistrza w jego rodzinnym mieście. Wtedy miał już sprecyzowane zainteresowania, choć oprócz gry w piłkę z zapamiętaniem uprawiał tenis stołowy i to na poziomie III ligi, w której Włókniarz występował.

Wcześniej wyżywał się we wszystkich możliwych sportach, łącznie z tymi, które sam wymyślał. Kiedy więc za karę ojciec go spral, a matka zamykała w domu, Kazik brał piłeczki pingpongowe, by razem ze starszą siostrą celować nimi do wazonu na stole. Byleby rywalizować i koniecznie wygrywać. Jego pierwszą bramką stało się zwykłe krzesło w mieszkaniu przy ulicy Lubichowskiej 86. Trafiał w nie czym się dało.

Jeszcze jako dziecko dwukrotnie otarł się o śmierć. Mając cztery i pół roku, zachorował na zapalenie płuc. Wtedy, na początku lat pięćdziesiątych, była to choroba groźniejsza niż dziś. W jego przypadku ratunek przyniósł kilkunastodniowy pobyt w szpitalu. Kilka lat później zaś, gdy grał z kolegami w hokeja na zamrzniętym stawie, załamał się pod nim lód. Koledzy mieli kłopoty z wyciągnięciem go spod kry. Udało się to dopiero komuś starszemu, kto akurat przechodził w pobliżu.



Zakończenie roku szkolnego w pierwszej połowie lat sześćdziesiątych. Kazik stoi trzeci od prawej w górnym rzędzie



Interesował go tylko sport. Do szkoły chodził, bo nie miał innego wyjścia. Najpierw do podstawowej numer 4, przy ulicy Warszawskiej, później do Zasadniczej Szkoły Zawodowej przy Starogardzkich Zakładach Obuwniczych. Kiedy w roku 1890 zakładał je z synami Peter Kauffmann, przedstawiciel jednej z najbogatszych rodzin w mieście, były po prostu Fabryką Obuwia. Deyna ucząc się pracował w tej fabryce. Miał zostać elektrykiem. Tyle że do nauki raczej się nie przykładał, choć przechodził z klasy do klasy. Ojciec, widząc, że synowi w głowie tylko bramki, piłki i skocznie, traktował go dość surowo, czego ślady widać było nieraz przez kilka dni na całym ciele. Matka trzymała raczej z ojcem wspólny front, obawiając się, że z syna nic dobrego nie wyrośnie. Rodzeństwo natomiast, zwłaszcza bracia, skłonne było nawet odrabiać za niego lekcje, byleby Kazik mógł grać. Zdarzało się więc przekonać mamę, by czasem odstąpiła od zasad. Zławsza w niedzielę, kiedy zbliżał się mecz. Mama ustępowała, a jej rozmowy z mężem wyglądały mniej więcej tak

- Co tak pusto w domu, Jadziu, gdzie dzieci?

- Jak to, Franiu, przecież dziś niedziela, wszyscy poszli do kościoła Świętego Mateusza przy rynku.

- A Kazik? Przecież miał się nie ruszać z domu.

- Kazik też poszedł, żeby przeprosić Pana Boga za grzechy. Obiecał, że już od poniedziałku weźmie się za naukę. - Boże, odpuść mi te kłamstwa - dodawała cicho, odwracając się od męża i robiąc znak krzyża.

- Skoro tak, to w porządku, dobry przecież z niego chłopak, szkoda, żeby się zmarnował. Piłka mu przecież chleba nie da. Fach musi mieć w ręku.

Kazik tymczasem „balował” (piłka po kociewsku to bala, jak na Śląsku) na boisku przy Parkowej, grał w szczypiorniaka, ping-ponga lub skakał wzwyż. We wszystkim był dobry, bo miał wyjątkowy talent. Henryk, który później oglądał brata w telewizji, mówił: - Wydawało się, że był wolny, ledwo wyciągał te swoje długie nogi, każdy mógł go przeciągnąć. Taka galameja. Ja pamiętam go jednak jako chłopaka wyjątkowo sprawnego, skocznego, zwrotnego. Wtedy, w pierwszych latach gry we Włókniarzu, nie mógł wykazać swojej wyższości inaczej, niż właśnie dzięki tym wszystkim cechom stanowiącym atrybut młodości. Doświadczenie przyszło później. Talent, jakim został obdarzony, łączył z pracą, która stała się jego największą przyjemnością. Bo robił to, co lubił.

Tym, który pierwszy ten talent rozwijał, był Henryk Piotrowski, starogardzki instruktor, były piłkarz Włókniarza. Tak się złożyło, że kiedy Kazik Deyna przyszedł do klubu jako trampkarz w roku 1959, a może 1960, pan Piotrowski, mając wtedy zaledwie trzydzieści lat, kończył właśnie karierę. Dwa lata wcześniej odbył kurs instruktorski, opieka nad



grupą trampkarzy, w której znalazł się Kazik, była jego pierwszym zajęciem w nowej roli. Rano szedł do pracy w fabryce obuwia, a po południu uczył dzieci gry w piłkę. I tak przez prawie trzydzieści lat.

W roku 1990 skończył sześćdziesiąt lat i uznał, że na bieganie po boisku już raczej nie pora. Ale zachował sportową sylwetkę. Był wysoki, wyprostowany, żyłasty i zawsze się uśmiechał. Niewiele brakowało, by jego losy potoczyły się inaczej. Kiedyś zdobyli w klubie ponad czterysta odznak SPO (Sprawny do Pracy i Obrony - ważna blaszka w systemie socjalistycznej indoktrynacji młodzieży), które w latach pięćdziesiątych stanowiły nagrodę za rozmaite rywalizacje. Dodatkową była możliwość rozegrania meczu z drużyną tego samego pionu, jak to się wtedy mówiło, czyli federacji Włókniarz. Kiedy już odczekali swoje, a niektórzy nawet zapomnieli o wyróżnieniu, nagle do Starogardu zawitał zdobywca Pucharu Polski, późniejszy mistrz kraju Łódzki Klub Sportowy. Przyjechał w roku 1958 z Leszkiem Jezierskim, Stanisławem Baranem, Henrykiem Szczepańskim, Józefem Walczakiem, Władysławem Soporkiem, Henrykiem Szymborskim i Robertem Grzywoczem.

To był na tamte czasy istny gwiazdociąg. Baran wystąpił w reprezentacji jeszcze przed wojną, a Szymborski chodził w glorii zawodnika, który kilka miesięcy wcześniej jako pierwszy Polak strzelił bramkę Barcelonie na Camp Nou. Jezierski po latach zabył się jako trener.

Wygrali 5:1, bo inaczej być nie mogło. Ale na pomeczowym obiedzie, kiedy już odśpiewano wspólnie kilka piosenek, do najlepszego pomocnika gospodarzy Henryka Piotrowskiego podeszło dwóch panów z kierownictwa ŁKS.

- Słuchaj - powiedzieli - podobała nam się twoja gra. Widzimy, że z lepszymi partnerami radziłbyś sobie jeszcze lepiej. Jeśli chcesz grać w ŁKS, pakuj manatki i jedź z nami do Łodzi.



## Henryk Piotrowski

(14.12.1930 - 03.12.1994)

Piłkarz nożny SKS-u Starogard w latach 1945 - 47 i ZKS-u „Związkowiec” 1947 - 48, potem „Włókniarza” Starogard od 1962 r. oraz tenisista stołowy „Włókniarza” (1961 r. wywalczył drużynowe mistrzostwo województwa gdańskiego i baraże o II ligę w Małwach k. Inowrocławia), potem „Unii”. W latach 1958 - 66 szkolił piłkarzy seniorów i juniorów „Włókniarza”. I trener i wychowawca piłkarza Polski XX wieku Kazimierza Deyny. Potem ceniony trener „Unii” Starogard w latach 1967 - 71, „Stoczniowca” Starogard, LZS Czarny Las, LZS Borzechowo, PKS Starogard i Korony Rywałd. Członek Zarządu ZKS „Włókniarz” od 1957 do 1965 roku.



Henryk nawet nie marzył o takim zakończeniu dnia, toteż popędził do domu, by podzielić się wiadomością z matką. Zamiast radości usłyszał szloch. Od kilku lat mieszkali sami. Ojciec zginął w obozie koncentracyjnym Stutthof.

- Synku, jeśli teraz wyjedziesz, to z kim ja zostanę?

Pan Henryk miał wówczas dwadzieścia osiem lat, dobrze wiedział, że długo nie pogra, i choć z jednej strony chciał jeszcze sprawdzić się z najlepszymi w kraju, z drugiej trochę się tej konfrontacji bał. A kiedy dotarł do niego głos matki, uznał, że jednak lepiej zrobi, nie wyjeżdżając. Pozostała mu satysfakcja, że docenił go ŁKS.

- Może jeszcze zagrałbym w pierwszej lidze, ale to wcale nie było pewne - opowiadał.  
- Gdybym wtedy wyjechał, nie spotkałbym na swojej drodze Kazika. Ale o tym nie mogłem wiedzieć. Po latach, kiedy on wyjechał do Łodzi, grał w ŁKS i poszedł dalej jak nikt przed nim i po nim, czułem się trochę tak, jakbym to ja był na jego miejscu. W jego osobie, mojego ulubieńca, spełniały się moje marzenia.

Wtedy, na przelomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, w świecie triumfowała już brazyliana, system ustawienia zawodników na boisku (4-2-4), który przyniósł reprezentacji Brazylii dwa tytuły mistrza świata. W Polsce jeszcze przez kilka lat obowiązywał stary system (3-2-5), czyli przedwojenny WM, wymyślony w Anglii. Środkowy napastnik miał w nim numer 9.

Kazik umiał przede wszystkim strzelać gole i najczęściej właśnie on wkładał koszulkę z „dziewiątką”. Był wyższy od większości kolegów, taki gibas, jak mówiono w Starogardzie na wysokich, szczupłych chłopaków. Szybszy, lepszy technicznie i sprawniejszy od rówieśników. A do tego ćwiczył jak nikt.

- Aż miło było patrzeć, z jakim zacięciem wykonywał każde moje polecenie. Inni chłopcy różnie je traktowali, jak to młodzi. Kiedy się odwróciłem, już przestawali ćwiczyć lub nie robili tego tak dokładnie, jak powinni. Kazik był inny. Wiedział, że jak trener coś mówi, to wie, czego chce i jaki ma plan. Kazia nie trzeba było popędzać, sprawdzać, poprawiać. Nie dość, że najlepiej grał, to jeszcze najsolidniej trenował - wspomina Henryk Piotrowski.

Na boisku Włókniarza, przy ulicach Parkowej i Sportowej, znajdował się nieduży budynek, mieszczący szatnie i magazyn piłek. Mieszkał tam gospodarz klubu, pan Franciszek Rosani, dusza całego Włókniarza. Gerard Rosani junior strzegł przez pewien czas klubowej bramki, a Danuta, młodsza córka pana Franciszka, biła rekordy Polski w rzucie dyskiem i pchnięciu kulą. Tam przychodziło się jak do domu. Jeszcze z ulicy Lubichowskiej Kazik przyjeżdżał na boisko rowerem, później przez kilka lat chodził pieszo z kolejnego





mieszkania, jakie zajmowała rodzina Deynów. Znajdowało się przy ulicy Grunwaldzkiej 7, parę minut drogi od boiska, bo bardziej je przypominało niż stadion.

W domu przy ulicy Grunwaldzkiej, zbudowanym w latach dwudziestych (Starogard w roku 1920 wrócił do Polski, wcześniej nosił nazwę Preussisch Stargard), znajdowało się dziewięć mieszkań na parterze, pierwszym piętrze i poddaszu. Wchodziło się tam po drewnianych, krętych schodach, w kaflowych piecach zimą palono się węglem. Tutaj Kazik spędził ostatnie pięć lat w Starogardzie, tu przyjeżdżały czarne wołgi z tzw. kaperownikami, stąd wyjechał w świat. Teraz na domu wisi tablica informująca, że mieszkał tu najslynniejszy starogardzianin, Duma Kociewia.

Pan Piotrowski miał szczęście do Deyny i odwrotnie. Zwyczajnie przypadli sobie do gustu. Chłopiec nabrał do trenera zaufania i przez kilka lat traktował go nie tylko jak nauczyciela, lecz jak kogoś, kto czasami zastępuje ojca. Ale nawet z nim, tak samo jak w domu, niewiele rozmawiał. Rozumieli się w pół słowa. Kazik dobrze też wiedział, że trener musiał przez pewien czas toczyć o niego boje.

- Kiedyś drużyna juniorów Włókniarza pojechała na mecz do Chojnic - wspomina pan Henryk. - Nie pamiętam już, czy Kazik wcześniej zagrał w jakimś meczu, czy nie. Chyba nie, bo był jeszcze trampkarzem, kiedy wygrywał z kolegami starszymi o kilka lat. Zdecydowałem, że wystawię go na środek ataku w zespole juniorów i to właśnie w Chojnicach. Tak na wszelki wypadek. Wierzyłem wprawdzie, że da sobie radę, ale wolałem dmuchać na zimne. Niech lepiej dojdzie do tego debiutu z dala od wszystkich znajomych. Może i chłopcu będzie łatwiej, kiedy nie poczuje na sobie oczu rodziny i kolegów. Jeszcze wówczas nie znałem go na tyle, by wiedzieć, że takie rzeczy nie robią na nim żadnego wrażenia.

- Mógł grać wszędzie, przeciw każdemu i nic go nie deprymowało. Wtedy, w Chojnicach, kiedy nikogo wcześniej nie uprzedzając, wpisałem go do składu, kierownik drużyny lekko się zdziwił. A gdy inni działacze zobaczyli Kazia wychodzącego z numerem 9, przybiegli z krzykiem: „Co pan, panie Heńku, robi! Trampkarza chce pan zarzącać mecz przegrać!”.

Nie chciałem ani jednego, ani drugiego. Miałem tylko nadzieję, a i Kazik wiedział, że to dla niego szansa. Zdołał



Dom przy Grunwaldzkiej 7.  
Stąd wyjechał w świat



to wszystko ogarnąć swoim czternastoletnim rozumem. Wygraliśmy ten mecz, on sam strzelił trzy bramki, spisał się tak, jak może sobie wyśnić młody chłopiec, marzący o wielkiej karierze, w noc poprzedzającą debiut w Chojnicach. A kiedy w kolejnych meczach przekonał ludzi, że nie jest bohaterem jednego dnia, szybko zaczęto na niego liczyć. Wtedy, jako trampkarz, grał w zespole juniorów. Wkrótce jako junior wywalczył stałe miejsce w zespole seniorów. Wśród mężczyzn w kilku przypadkach starszych od niego o kilkanaście lat – kończy Henryk Piotrowski.

Pierwsza połowa lat sześćdziesiątych – drużyna juniorów Włókniarza Starogard Gdański. Kazimierz Deyna stoi pierwszy z lewej, obok swojego pierwszego trenera i przewodnika Henryka Piotrowskiego



To wszystko nie robiło na Kaziku wrażenia. Przynajmniej tego nie okazywał. Nadal trenował, traktując ćwiczenia jako najważniejsze zajęcie w życiu, ważniejsze od szkoły. Po lekcjach na boisku mył się w misce i biegał na „Piekielki”. Takie łąki nad przepływającą przez Starogard Wierzyca, gdzie kopał piłkę albo z tymi, z którymi właśnie skończył trening, albo z innymi chłopakami, niezrzeszonymi w klubach. Potem kąpał się w rzece, która jeszcze wtedy nie była ściekiem, i dopiero szedł do domu. Jeśli nie pokazał ojcu odrobiny lekcji, dostawał czym popadło, obiecywał poprawę, matka jakoś go utulała, a następnego dnia wszystko zaczynało się od początku.

Na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych mieszkańcy Starogardu mieli kilkunastodniową niecodzienną atrakcję. Na wschód od miasteczka, na polach między wsiami Rywald i Kolincz, w pobliżu stadniny koni, reżyser Aleksander Ford kręcił do filmu *Krzyżacy* bitwę pod Grunwaldem. Chłopaki wsiadali na rowery i jechali oglądać rycerzy. Dwunastoletni Kazik też tam był.

Kiedy z czasem ojciec uznał, że syna nie złamie – docierały też do niego wieści o nieprzeciętnym talencie Kazika – zaczął się trochę interesować jego postęпами w sporcie. Na mecze jednak nadal nie chodził, a ponieważ sam Kazik niewiele o nich mówił, ojciec zadawał mu podstępne pytania.

– Słyszałem, Kaziu, że znowu wczoraj nie strzeliłeś gola. W mleczarni bardzo na ciebie narzekali...

– Co!? Ja nie strzeliłem?! Kto tak mówił?!

I zaczynał swoją opowieść o tym, jak wygrali i jaki miał w tym udział. Ojciec słuchał, po każdej niedzieli sprawiało mu to coraz większą przyjemność, a serce przepełniała dumna – a jednak, moja krew.

Z czasem też sportowe życie Kazika przestawało być jego prywatną sprawą. Stawał się kimś ważnym, choć w kieszeni wciąż miał legitymację szkolną. Przed nim bożyszczem miasta był stoper Starogardzkiego KS – Henryk Bandemer, zwany Siwym. Nadszedł jednak dzień, w którym króla strącono z tronu.



Kiedy w pobliżu Starogardu Aleksander Ford kręcił do filmu *Krzyżacy* bitwę pod Grunwaldem, na plan zbiegali się chłopcy z całej okolicy






Mecz reprezentacji juniorów Gdańskiego OZPN przeciw SKS. Każde starcie z Siwym groziło stratą piłki, zdrowia lub ośmieszeniem. Omijano go więc z szacunkiem, ale i strachem. Środkiem pola pod bramkę SKS praktycznie nie można było przejść. Kazik dobrze o tym wiedział, bo oglądał mistrza wielokrotnie i był zazdrosny o jego sławę, choć ta nie wykraczała daleko poza rogatki. Wiedział też, że jeśli chce osiągnąć więcej, a w przyszłości ma sobie dawać radę z wieloma lepszymi obrońcami, to pierwszym, którego musi pokonać, jest Bandemer.

Brat Deyny – Franciszek, który wtedy właśnie jako gracz SKS wystąpił jedyny raz przeciw Kazikowi, tak wspomina tamten mecz z pierwszej połowy lat sześćdziesiątych:

– Kazik, mając piłkę przy nodze, podszedł do Siwego z boku, jakby nie interesowała go w ogóle bramka. Tamtemu było wszystko jedno, z której strony ma przeciwnika i kto nim jest. Dla niego najważniejszym zadaniem było wybicie piłki. Kazik trzymał ją jednak blisko nogi, narażając się przy tym na kontuzję, gdyby rywal nie trafił w piłkę, tylko kopnął w kostkę. Siwy czasami robił to zresztą z upodobaniem, odstraszać skutecznie nazbyt śmiałych napastników. Tym razem jednak stało się coś, czego stary stoper jeszcze nie doświadczył. Kiedy już wydawało mu się, że – jak zwykle – ma piłkę na nodze, nagle trafił w pustkę. Piłki nie było, zniknęła też gdzieś ten młody chudy gówniarz. Nim do obrońcy dotarł nieoczekiwany pomruk trybun, dzielający jego zdziwienie, ten gibas już podał piłkę skrzydłowemu, który jednak, na szczęście, nie trafił w bramkę. Siwy może by i przeszedł nad tym do porządku dziennego, wmawiając sobie, że to przypadek, gdyby nie to, że po kilku minutach sytuacja się powtórzyła. Kazik znów zbliżył się do niego, prowokując do ataku. Zdenerwowany wcześniejszym niepowodzeniem obrońca ruszył do rywala, nabierając szybkości jak ciężkozbrojny rycerz. I znów stało się coś, o czym mu później opowiadano, bo sam nie zdążył tego zobaczyć.

Kiedy już znaleźli się półtora metra od siebie i Siwy wyciągnął nogę do piłki, brat nagle lekko uderzył ją szpicem buta, cofając się jednocześnie pół kroku. Rozpędzony Bandemer zatrzymał się dopiero po paru metrach, podczas gdy junior, wyraźne rozochocony, stał z piłką pod stopą, czekając na dalszy rozwój sytuacji. Tym razem od strony trybun zajmowanych przez kibiców Włókniarza dotarł do Siwego śmiech, a ze strony jego

  
**Nagle przestał się liczyć  
mecz, wynik, sędzia,  
był tylko jeden przeciwnik**



zwolenników gwizdy. Z początku nieśmiało, po chwili potężniejsze, przechodzące w chór. Tego już było za wiele. Nagle przestał się liczyć mecz, wynik, sędzia, był tylko jeden przeciwnik – patykowaty dzieciak, któremu trzeba dać nauczkę.

Nim pomyślał, jak to zrobić, już szybsze od rozumu nogi niosły go w kierunku napastnika. Ta decyzja okazała się najgorszą w jego życiu. Kazik rósł mu w oczach, widział go stojącego na ugiętych nogach, między którymi leżała piłka, teraz mniej ważny cel ataku. Było mu wszystko jedno, czy trafi w piłkę, nogi Kazia, czy przewróci go razem z piłką. I kiedy już szykował się do decydującego ciosu, Kazik nagle odwrócił się do niego bokiem, posyłając mu jednocześnie piłkę między nogami. Siatka!

O jeny! – ryknął stadion, a śmiech kibiców słychać było na rynku. Siwy nie wytrzymał, on już wiedział, że dziś z Kazikiem nie wygra. Opanował się jednak na chwilę i chcąc ratować resztki prestiżu, postanowił dać młokosowi inną nauczkę. Kiedy kilka chwil później bala zawisła w powietrzu, między nimi, zdesperowany Henio postanowił nastrzelić nią maślaka znajdującego się metr od niego. Nie mógł nie trafić w żołądek albo podbrzusze tak, żeby zabolalo. Mógł też być pewny, że sędzia nie odgwizdże w takiej sytuacji faulu, a gówniarzowi odechce się żartów. Nie przewidział tylko, że juniorek również pomyśli. W końcu widział nieraz Siwego w podobnych akcjach. Kiedy więc ten podnosił nogę, by oddać strzał kończący zabawę, wysoki Kazik nadstawił z góry swoją. Stoper z krzykiem padł na ziemię. Sędzia złapał za gwizdek. Ewidentna nakładka, rzut wolny. Żółtych kartek jeszcze wtedy nie było, a należałaby się. Bandemer leżał na trawie, obmacując bolącą stopę, i lypał złowrogo na odchodzącego z lekkim strachem młokosa, któremu udało się przechytrzyć starego repa. Dla niego coś już się kończyło. Tamten miał przed sobą największe stadiony świata, na których przyjmowano go oklaskami. Tego jednak w tamto popołudnie Henryk Bandemer nie mógł wiedzieć. Może osłodziłoby mu to gorycz przegranej. Był przecież w swoim czasie najlepszy w Starogardzie – kończy Franciszek Deyna.

Ludzie na trybunach zdawali sobie sprawę, że na boisku dochodzi do zmiany warty. Mały Kazio, raczej młody niż mały, stawał się pupilkiem starogardzian, dumą Kociewia, a i w Gdańsku zaczęło o nim być coraz głośniejsze.

– Kiedy w zakładzie wysyłaliśmy go w przerwie śniadaniowej po mleko – wspomina dużo starszy partner z boiska Gerard Kaźmierczak, zwany Kakim – nie mogliśmy się często na niego doczekać. Na każdym wydziale ktoś go tam zatrzymał, wypytał o mecz ostatni i następny, pochwalił, dał dobre rady. A było i tak, że znajdowaliśmy go, zaszytego w jakiś kącie, w którym czytał gazety sportowe. Wszystko o piłce. Jego faworytami byli Pele i Eusébio, wtedy najlepsi piłkarze na świecie.

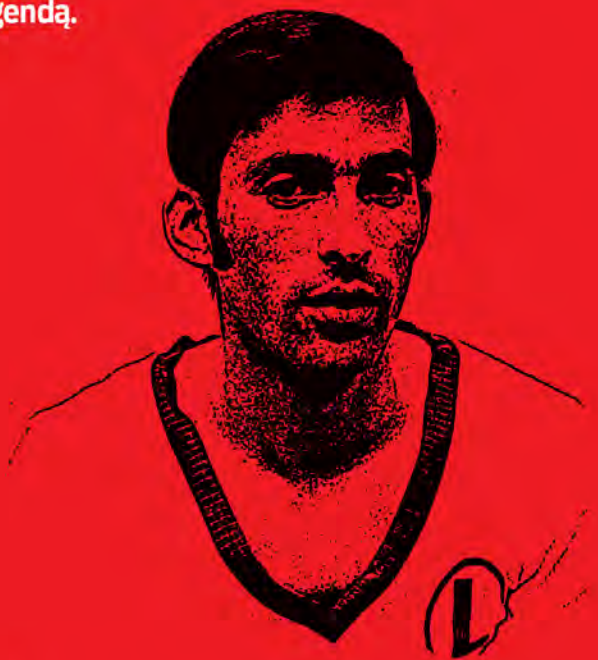


## Coś niebywalego! Jak zwykle kapitalny Deyna!

– niezapomniany komentator **Jan Ciszewski** powtarzał to jak mantrę przez całe lata siedemdziesiąte. Dziennikarze sportowi na świecie okrzyknęli piłkarza objawieniem futbolu. Grał genialnie. Popularny jak dziś **Ronaldo i Messi**, na polskich stadionach był wygwizdywany. Pewnie dlatego, że współtworzył sukces wojskowej Legii, zniechęconej za to, że była pupilką władzy. **Przystojniak**, na boisku **czarował piłkę**, a poza nim – **dziewczyny**, przez które czasem zniknął z treningów na parę dni. Prywatnie skromny, małomówny, wielki **indywidualista**, podczas meczu **dusza zespołu**.

On konstruował akcje, bo myślał najszybciej. On tylko rozdzieliał piłkę, a od biegania byli inni. „Rogale” i „kaczki”, od których bramkarze dostawali „niestrawności”, były jego specjalnością. **Grał fair**. Kopiąc piłkę przez trzy czwarte życia, tylko raz dostał czerwoną kartkę. Gdyby urodził się kilka lat później, zrobiłby na Zachodzie pewnie większą karierę niż **Boniek**. Po zwycięskich igrzyskach w Monachium, na których **został królem** strzelców, bity się o niego największe kluby Europy. Nie wyjechał. Najlepsze łafia oddał Legii i reprezentacji.

**Pozostał legendą.**



Patronat medialny



[www.marginesy.com.pl](http://www.marginesy.com.pl)



9 788393 375851

cena 39,90 zł